

KAZIMIERA ANDROCHOWICZ

Kazimiera Androchowicz, sekcyjna w plutonie Pomocniczej Służby Kobiet, dowództwa etapowego; ur. we Lwowie w 1904 r., urzędniczka pocztowa, mężatka (żona komisarza kontroli skarbowej Jana Androchowicza obecnie plut. podchor. w 2 Brygadzie Czołgów).

Dnia 9 kwietnia 1940 w nocy o godzinie 1.30 przyszło czterech Sowietów i po przeprowadzeniu rewizji w mieszkaniu aresztowali męża. Nie dali mi się ocknąć po tym ciosie, bo na trzecią noc przyszli po mnie. Nie byłam w domu, spałam u swej siostry i tam mnie znaleźli. Kazali mi się ubrać i iść do swego domu, gdzie spisali meble, nie pozwolili zabierać nawet prowiantów, twierdząc, że nic mi nie potrzeba, że wszystko dostanę, nawet takie samo mieszkanie, jakie mam. Powiedzieli mi również, że mąż mój jedzie ze mną, że zostaliśmy przesiedleni do innej miejscowości.

Gdy przyjechałam na dworzec, otworzono wagon, w którym nie było nikogo i tam mi kazano wsiąść. Na zapytanie, gdzie mój mąż, odpowiedział mi oficer, że jest w innym wagonie, a na miejscu się spotkamy. Do tego samego wagonu załadowano następnie p. Pieleszek, Pficnerową z matką i dziećmi, Janiszewską z dzieckiem, Ewę Turkową, p. Zarzycką z córkami, p. Kondycką z dziećmi i wiele innych osób, których nazwisk dzisiaj nie pamiętam.

Straszne były pierwsze chwile pobytu w tym wagonie, płacz i wspomnienia, dopytywanie się o swoich bliskich i domyślanie się celu podróży. Po dwudniowym postoju na dworcu kolejowym ruszyliśmy w 20-dniową podróż koleją przez Tarnopol, Podwołoczyska, Proskirów, Żmirynkę, Winnicę, Kijów, Konotop, Charków, Czapajewsk, Kujbyszew, Samarę, Ufę, Czelabińsk, Kurgan, Petropawłowsk, Omsk, Nowosybirsk, Barnau, Semipałatyńsk, Kokpekty, Komsomolsk.

Warunki bytowania w wagonie były okropne: 56 osób, zupełny brak urządzeń dla potrzeb fizjologicznych, dużo dzieci i kilka osób chorych. Pożywienie składało się z czarnego chleba

(którego było pod dostatkiem) i z zupy co drugi dzień, wydawanej gdzieś na jakiejś stacji, bez względu na porę dnia czy nocy.

Raz, gdy wołano nas o drugiej w nocy po zupę, z naszego wagonu nikt nie poszedł. Po kilkakrotnych nawoływaniach konwojent zagroził nam niewydaniem wody w ciągu dnia następnego, co naturalnie zostało solennie spełnione. Dopiero na żądanie nasze na jakiejś stacji pod wieczór wydali wodę.

W dniu 1 maja rano kazali nam wysiadać z wagonu. Znaleźliśmy się na stacji kolejowej Dzangis-Tobe, tam po kilka osób załadowali nas na furmanki zaprzężone w byki i ruszyliśmy w dalszą podróż przez stepy.

Upał okropny, słońce pali (skóra nieprzyzwyczajona do takiego słońca po trzytygodniowym siedzeniu w wagonie), można dostać porażenia słonecznego. Dniami przejazd, a nocami postój w stepach – noce zimne, spać nie można, bo trzeba pilnować, by nas nie okradziono.

Pięć dni i cztery noce trwała taka jazda z różnymi przygodami (wół zdechtł albo złamało się koło lub ugrzązł wóz itp.) aż 5 maja przed wieczorem przywieziono nas do Biegacza (tak się nazywał sowchoz, gdzie nas dowieźli. Była to tak zwana karna kolonia tak dla obywateli sowieckich, jak i polskich). Semipałatyńska obłast, kokpektyński rejon, sowchoz Komintern ferma nr 1 Biegacz.

Tam kazali znieść rzeczy do zawalonej stajni, gdzie jeszcze wczoraj bydło stało. Okropna wilgoć i zatrute powietrze.

Upartliśmy się, że nie pójdziemy, chciano nas zmusić, ale nie pozwoliliśmy na wniesienie tam naszych rzeczy. Zlitowali się miejscowi ludzie nad nami i pozabierali po kilka osób do swoich mieszkań, przyjęli mlekiem i serem (bo to tylko mieli) i pocieszali nas, mówiąc: – Nie płaczcie, my też byliśmy takimi burżujami jak wy, a dzisiaj inaczej żyjemy.

Nie przeszło dwa dni, jak zjawił się oficer NKWD i zaczął przemawiać nam do serca, że trzeba iść do pracy, że nie przyjechaliśmy na kurację, że dosyć naszego lenistwa itp. – zapraszał do robienia kiziaków (to jest opału z nawozu). Mnie wyznaczył pracę w garażu przy czyszczeniu maszyn i narzędzi. Pracowałam tam prawie dwa miesiące i zapłacono mi 60 rubli, (a gdy obliczyłam, to na chleb, który wolno mi było kupić jako pracującej, wydałam 80 rubli). Przez lipiec nie pracowałam. 2 sierpnia rano o godzinie czwartej przyszło

dwóch brygadierów z krzykiem, dlaczego jeszcze śpimy, że wszyscy siedzą na bryczkach. Zbudzona ze snu zrozumiałam, że zapewne wysiedlają nas gdzieś dalej. Okazało się później, że mnie okłámali, bo na bryczkach siedziało tylko kilka naszych pań z rzeczami, [tych] które przeznaczyci do pracy w ziarnoskładzie.

Ziarnoskład znajdował się w oddaleniu pięciu kilometrów od sowchozu, na zupełnym bezludziu, gdzie tylko w małym zawalonym domku mieszkał brygadier.

Tam zaczęła się nasza męka. Kazali wyrabiać normy, bo inaczej nie sprzedawali nam chleba. Norma wynosiła jedną tonę czystego ziarna na osobę na osiem godzin, ale i to wszystko zależało od dobrego nastroju pana brygadiera, czy uznał normę czy nie.

Pracowałam tam do 20 listopada 1940 roku. W tym to dniu trzymał nas brygadier od rana do czwartej po południu na dworze, przy dość wielkim zimnie i padającym śniegu. Przeziębłam się okropnie, nie mając ciepłego ubrania, a gdy na drugi dzień nie wyszłam do pracy, przyszedł brygadier z dyrektorem do mieszkania, gdzie leżałam na zimnej glinianej podłodze, i powiedział mi, że będą mnie sądzić, jeśli nie wyjdę zaraz na robotę.

Po moim wytłumaczeniu, że jestem chora – byłam tak zachrypnięta, że nie mogłam mówić – pozwolił zostać w domu i obiecał nawet przysłać lekarkę. Po paru godzinach przyszła lekarka Polka, p. dr Kosińska, lecz cóż, nie miała żadnych lekarstw, dała mi tylko zwolnienie, bo tyle było w jej kompetencji.

Tak leżałam do 7 grudnia, w którym to dniu przyszedł brygadier i kazał mi pakować rzeczy i jechać, bo nie mogę pracować i jestem mu niepotrzebna. Za cały czas mojej pracy, tzn. od maja do listopada, zarobiłam 277 rubli. Wróciłam do Biegacza, znalazłam mieszkanie wspólne u Rosjan, za które płaciłam 30 rubli miesięcznie i tak przeszedł czas aż do lata. Żyłam z pieniędzy i paczek, które mi siostra posyłała, i dostałam pieniądze za meble.

29 sierpnia 1941 przyjechał delegat z NKWD, wezwał nas do kantoru i zapytał, dokąd chcę jechać, bo mamy wolność. Byłam tak zaskoczona tym, co powiedział, że w pierwszej chwili sama nie widziałam, dokąd mam jechać.

Przeniosłam się do Kokpekty, gdzie jeszcze można było dostać za pieniądze jarzyny i owoce (czego na naszej karnej kolonii nie było). Tam dostałam telegram od mego brata, kapitana Żołnierczyka, który był w 5 Dywizji w Tatiszczewie. Brat mnie wzywał listownie do siebie.

29 października 1941 wyjechałam pociągiem z zamiarem udania się do Tatiszczewa. Dojechałam do Taszkientu, stamtąd nie mogłam się wydostać. Siedziałam dziesięć dni na dworcu, gdyż nie można było dostać biletu na przejazd pociągiem, ponieważ rzekomo pociągi jeździły tylko dla wojska. Wreszcie dojechałam do Samarkandy, gdzie znowu dwie doby przesiedziałam po okienkiem kasowym, czekając na sprzedaż biletu, w końcu dowiedziałam się, że cywilnym osobom nie wolno jechać do saratowskiej obłasti. W ten sposób straciłam kontakt z bratem.

Z Samarkandy wraz z kompanią ozdrowieńców, która przyjechała z Tatiszczewa, zawieźli nas do Turkiestanu, skąd wąskotorówką do Siergo i dalej wieziono nas cztery doby wielbłądami 250 kilometrów wśród stepów, zimna i mrozu. 5 grudnia 1941 roku przywieźli nas do kołchozu Intymak, turkiestańska obłast, suzaskij rejon.

Początkowo do roboty użyto tylko mężczyzn. W lutym mężczyzn powołano do wojska. W międzyczasie w zastraszający sposób zaczął szerzyć się tyfus, tak że nie było dwu dni, by ktoś nie umarł (przeważnie mężczyźni). Ze zmarłych pamiętam kilka nazwisk: Dąbrowski z Warszawy (22 lata), plutonowy Herman, starszy sierżant Drapiński, urzędnik kolejowy ze Lwowa Rączkowski, podporucznik rezerwy z Krakowa Kępka. Herman, Rączkowski i Dąbrowski zmarli z głodu i zimna. Pomocy lekarskiej na miejscu nie było żadnej, szpital bowiem oddalony był o 22 kilometry od miejsca zamieszkania i nie przyjmował tych, którzy byli zawszeni.

12 marca 1942 sama zapadłam na tyfus. Leżałam siedem dni w domu, potem zabrali mnie do szpitala. Zawieziona zostałam na wozie naładowanym workami z ziarnem, z temperaturą 39,5. Warunki w szpitalu były skandaliczne. Wszy, brudna bielizna pościelowa. Chociaż podłogę myto codziennie, czystości nie było, wypróżnianie naczyń odbywało się na sali, co mocno zanieczyszczało powietrze. Pożywienie marne, składało się bowiem rano i wieczorem z wody gorącej zabarwionej ziołami, porcji chleba (około 700 gramów), którego – mając temperaturę 39,5 – i tak jeść nie mogłam, a w południe z *łapszy*, to znaczy klusek z ciemnej mąki zarzuconych na wodę i omaszczonych olejem. Sama lekarka (sowiecka) była bardzo przychylną osobą, lecz z braku lekarstw – bezsilną. Okazywała dużo sympatii dla Polaków, opowiadała mi zawsze, że już niedługo wrócimy do Polski.

Po wyjściu ze szpitala długo jeszcze nie miałam sił. Szukałam brata, pisałam listy i telegramy, ale nie dostawałam żadnej odpowiedzi. Jak się później dowiedziałam, tamtejsza poczta przetrzymywała wszelką korespondencję.

Tak przetrwałam do lipca, utrzymując się z zamieniania rzeczy, które mi jeszcze pozostały, na mleko i mąkę, bo więcej nic nie było można dostać. W lipcu dostałam list od brata, który szukając mnie siedem miesięcy, natrafił na mój adres i zaraz przysłał po mnie podoficera.

Wyjechałam 25 lipca z Suzaku i przyjechałam do Turkiestanu. Lecz tu nowa niespodzianka: mimo że miałam dokumenty, naczelnik NKWD nie pozwolił mi jechać dalej, pozwalając plutonowemu wyjechać. Musiałam zostać, ale rozpacz mnie ogarnęła, co pocznę dalej w mieście, gdzie szalona drożyzna, rzeczy na sprzedaż nie miałam już prawie, a pieniądze były na wyczerpaniu.

Po 14-dniowym bezskutecznym bieganiu od biura do biura i do Delegatury Polskiej, zawarłam znajomość z żoną kierownika kancelarii NKWD i po daniu jej dużej łapówki, mąż jej zdecydował się przewieźć mnie jako aresztowaną do Taszkientu. W Taszkencie dowiedziałam się od polskich żołnierzy, że 5 Dywizja już wyjechała, więc nie mam po co tam jechać, wobec tego pojechałam razem z rodzinami tych żołnierzy do Jangi Julu. Stamtąd zostałam wysłana pociągiem ewakuacyjnym do Krasnowodska, skąd statkiem do Pahlevi, gdzie przybyłam 27 sierpnia 1942 roku.

W Pahlevi spotkałam męża, o którym przez cały czas mego pobytu w Rosji nie miałam żadnej wiadomości. 23 września wyjechałam z Pahlevi do Teheranu, gdzie wstąpiłam do PSK jako ochotniczka.

Z rodziną, to jest matką i siostrą, które zostały we Lwowie, miałam kontakt listowny do chwili rozpoczęcia wojny sowiecko-niemieckiej.